

## Tonąc

Nie mam zbyt wielu snów. Nie mam zbyt wielu snów, które pamiętam. Ich urywki zawsze kończą się tak samo. Prawa stopa stawia krok w przepaść. Przepaść wysokości progu, jednego stopnia schodów albo niskiego muru. Budzę się wtedy gwałtownie i liczę na to, że przy upadku nie połamałem nóg. Ten sen był inny. Nie było wysokości, ale było niebo, brzydkie niebo koloru firanek powieszonych dawno w mieszkaniu, do którego lokatorzy już nigdy nie zajrzą. Pod niebem była brzydka ziemia, zaorana ziemia barwy nijakich, peerelowskich, brązowych garniturów, których właściciele wieszali koronkowe firanki w starych oknach i brzydkie, acz majestatyczne bezlistne drzewo, jakby obumarłe. Stałem pod nim ubrany jak w jeden z tych lipcowych wieczorów, które z dźwiękami muzyki i śmiechem przechodzą w noc. Wiedziałem, co to za miejsce, choć pamiętałem je inaczej. Niebo nie było brudne, ziemia była zbożem, a liście drzewa odbijały promienie słońca. Nie pamiętam, czy było ciepło. Nie pamiętam też, kim była Osoba, która mnie zawołała, ani co mówiła, ale dziś przypuszczam, że to nie było nic miłego. Kiedy mówi się miłe rzeczy, twarz nie układa się w dziwne grymasy, oczy nie płoną, w uszach nie dzwoni, a długiej sukni nie porywa wiatr. Stałem więc pod obnażonym z zieleni drzewem, równie obnażony w konfrontacji z Osobą. Ziejąca ogniem słów Kobieta (tak sądzę) równała mnie (domniemywam) z poziomem zaoranej gleby. Z każdym kolejnym wyrazem coraz bardziej się w nią zapadałem, właściwie stawałem się jej częścią. Gdy ponad ziemię wystawała tylko żalosna głowa, Osoba zakończyła swój monolog. Nadal nie wiem, czego dotyczył, ale z ostatnią kropką już w całości znalazłem się pod powierzchnią. I nie było nieba i nie było drzewa i ziemi też już nie było. Brąz otoczył mnie ze wszech stron i zawładnął percepcją. Poczulem się, jakby ktoś wsadził mnie w jeden z tych garniturów, tylko o wiele rozmiarów za duży. Tak bardzo liczyłem wtedy, że zaraz znów spadnę ze schodów i obudzę się wciągając powietrze. Zamiast tego człapałem pod ziemią w brązowym gajerze i brązowych butach przez brązowe pole i ciemność. Szedłem dalej pogodzony z kolorem, myśląc o tym, co dzieje się nade mną. Może mnie szukają, a może jak nie znajdą to pod tym drzewem mi chociaż krzyż, a jak nie chcą krzyża, to tabliczkę małą postawią. „Tu wsiąknął (tak zakładamy) X, był, ale już go nie ma”. Może na tyle za mną przepadali. Kończę więc idąc i myśląc. Nic nowego, nudno, czas wstawać.

M.

## Teraz tańczą

Zwykle o tej porze jestem w domu i myślę o wszystkim tym, czego nie zrobiłem i nie powiedziałem. Dziś bawię się jednak wraz z całą wynajętą salą na drugim piętrze kamienicy przy Wielkiej. I świętuje kamienica i lokatorzy, każda cegła i skrzypiący stopień śpiewa z nami piosenki i słyszy słowa, których już dawno nie słyszał, bo może i nie było ku temu okazji. I cieszy się ulica Wielka, faluje bruk i falują ludzie po nim stąpający. Migają światła taksówek, ognie zapalniczek, neony kebabów. Miga i faluje z nami niebo nad miastem i samo miasto się przyłącza, choć duszne zazwyczaj, dziś wiruje, bo głupio tak zostawać samemu w kącie. Jestem więc na piętrze i stąkam po drewnianym parkiecie, kursując między krzesłami i ludźmi, uśmiechając się grzecznie do sałatek i kubków i do koreczków i ścian. Teraz grają spokojną muzykę, można spojrzeć za okno, na gwiazdy i nucić do nich w nadziei, że w końcu przestaną milczeć. Piękne jest to, że ludzie i tak na nie patrzą i nadal dumają i zadają im miliony pytań. O przeszłość, o teraz, o jutro, mówią nawet, że wszystko jest tam zapisane. Pytam też ja, lecz ciche jest niebo, więc krzyczę nań głośno, długo i przeciągle, choć tylko ja i tylko ono to słyszy. Nie wiem, na co liczę, bo milczy do mnie i patrzy w okna kamienicy z politowaniem, jak tylko nieba patrzą. Widzi mnie ten granat i słyszy mój krzyk i może by chciał mi coś powiedzieć, ale może to jeszcze nie czas. I niesie się śpiew chóru pytających w czeluść, a ona uśmiecha się tylko miło, do wszystkich jednakowo. Trudne takie życie, nie mówić tego, co mogłoby się powiedzieć. Znam to uczucie i nie lubię go bardzo, tak bardzo, jak tylko potrafię. I zna to uczucie też miasto, bo nie mówi już od dawna. Płyty, krążganki, asfalt i kostka bauma szepczą tak cicho, że prawie nikt ich nie słyszy, nie męczą się więc już ciągłym monologiem. Pewnie wiedzą więcej, niż się wydaje, spieszymy się jednak i udajemy mądrzejszych, bo patrzymy nad, zamiast patrzeć pod. Lubimy zatem niebo i lubimy gwiazdy, ale może po latach monologów sami się zmęczymy i będziemy szeptać tak nikle, że i one nas nie usłyszą i wezmą nas do siebie, byśmy teraz my pouśmiechali się do okien bloków i domów, szyb samochodów. Mam dosyć nieba, przechodzę na salę i zaczynam płynąć z dźwiękiem. Płynie nas więcej i płynę już nie sam i słyszę słowa, przed którymi chciałbym się schować i nie słyszeć ich wcale. Za późno już jednak, by się ich pozbyć i zapomnieć. Rozchodzimy się po nich, wracamy do siebie, do gwiazd i nieba. Podchodzisz po chwili i pytasz mnie, czy wszystko w porządku, a ja opowiadam o nieswoich myślach, które trzymane zbyt długo dotarły do mnie moment temu. Patrzysz na mnie, a ja na ciebie i znów mówię o sobie, choć chyba już nie powinienem. Dobrze, że teraz tańczą i nie widzą tego albo udają, albo nie chcą widzieć. Rozmawiamy, aż milknie sala na ulicy Wielkiej i trzeba zejść po skrzypiących schodach. Nie kołysze się już miasto, bo zbyt późno na zabawę, śpią już parki i alejki. Trzaskamy drzwiami samochodu i jedziemy w stronę poranka, kiedy znów pomyślę o wszystkim, czego nie zrobiłem i czego nie powiedziałem. Między blokami, wcześnie rano, nie ma już gwiazd, więc teraz ja muszę milczeć o tym wszystkim, co wiem.

M.

## Turoń

W małych miastach wszystko słyhać. Czego by się nie powiedziało, nawet nie szepnęło, niesie się potem echem wąskich ulic i odbija się od bloków i domów-kostek, by na końcu odbić się od ludzi i zostać między nimi, aż im się nie znudzi albo zacznie im przeszkadzać. Są takie zdania, które różnie brzmią, ale tak samo kłują i uwierają potem bardzo i trzeba się ich pozbyć, zanim oplotą ciało do końca. I nie lubimy takich zdań i nawet te piękne bolą potwornie, zdzierając tynk z budynków i z człowieka też coś zdzierają, choć nigdy do końca nie wiadomo co. Tej jednak zimy wśród smogu i mgły miejskiej nie niosły się wyjątkowo zdania złe i płacz ich skutków. W mieście C. już od początku grudnia słyhać było tylko ciche kłapanie pyskiem, stukot kopyt i śpiew, czasem żaloszny, czasem wesoły. Z czasem poznano, że to turoń chodzi po miasteczku. Od tej pory nie szeptały drzewa i ulice i parki i szyldy o niczym innym, dziwne to było strasznie, bo ani pora odpowiednia, ani miejsce szczególne. Zresztą nie było w C. nigdy kolędników, a jak już byli to nie przed Świątami, bo wtedy nikt im nic nie da, kolęd się nie gra i wódki też się nie pije, nie mają po co chodzić i marznąć. Turoń człapał jednak, ale inny był, nikt go na smyczy nie prowadził, nie naprzykrzał się też w ogóle, włóczył się nieszkodliwie i gdy zdawało się, że nikt nie patrzy, to palił długim pyskiem papierosy, co też się raczej nie zdarza. Nie wiedziało miasto, co zrobić, obserwowali tylko cicho, pokazując czasem palcem i bojąc się ogromnie, choć nie bardziej niż zdań i nie bardziej niż ciszy. Nie pasował przybysz do nich, więc chwycili go którejś nocy i wywieźli za miasto. I umilkło znowu C., czasem tylko odbijały się słowa od ścian, by cicho zasnąć w głowach. Turoń zaś włóczył się po rozmokłych, grudniowych polach, pod szarym niebem, aż z siwizny krajobrazu wyłoniła się ogromna Arka, a przy niej sam Bóg, jak żywy. I widział Bóg turonia, a turoń Boga, znali się już oboje, choć nigdy nie darzyli się sympatią. Zrzędzeniem losu, spotkali się jednak na polach nieopodal C. i patrzyli na siebie, choć myślami byli bardzo daleko i wcale nie chcieli na siebie patrzeć. Zapytał jednak Stwórcę włóczęga, czy znajdzie się dla niego miejsce wewnątrz Arki, na co Bóg uśmiechnął się ojcowsko, jak na niektórych freskach, machnął ręką i spadła z turonia wielka paszcza i koc, którym był okryty i stanął nagi przed Bogiem i przed sobą. Poderwały się wtedy ptaki z drzew okolicznych, las zawył przeciągle i wypadły z niego zwierzęta, tratując się nawzajem. Wbiegły wszystkie do Arki Pana, został tylko turoń, choć już nim nie był, sam pośród zimy. Nie wiedział co począć, na horyzoncie majaczyły tylko nikłe światła C., gdzie właśnie zasiadano do wigilijnych stołów, przy których stały niezastawione nakrycia, różne, smutniejsze od pozostałych, tylko czekające z nadzieją na nakarmienie strudzonych wędrowców. Postanowił udać się tam i uszedł nawet kilka kroków, gdy ryknął nieboskłon i Wielki Deszcz kroplami gęstymi i czystymi zaczął szybko, choć dostojnie spadać na ziemię. Biegł już turoń do światła, a ulewa nie ustępowała i już chwilę potem porwała go rwąca rzeka, nieubłagane zmierzająca w kierunku miasta. Płynął z nią turoń, choć nagi to nie czuł zimna ani niczego innego, gdy z impetem woda, już brudna od ziemi, wdzierала się na place porywając latarnie i bruk i wszystko wraz z nimi. Porywała ludzi i płynęli z turoniem, lecz nie bali się go już, bo nie miał już teatralnej maski, która kłapała nocami, tylko zwykłą twarz z oczami szarymi, jak rzeka i jak niebo płaczące bezustannie. Zniknęli wszyscy pod wodą tak samo, nie oszczędził, poza zwierzętami, Bóg nikogo z C., ani znikąd indziej. Może nie chciał, a może nie mógł, a może nie zdążył. Długo po tym szeptali jeszcze aniołowie, a ich słowa odbijały się od chmur i gwiazd, nikięły jednak zapomniane, bo nie miały już kogo kłuć.

M.

## Amba fatima

Przyszedliśmy tu wszyscy i nikt z nas właściwie nie wie po co. To nigdy nie jest dobry pomysł, by ktokolwiek spotykał się, aby rozmawiać o tym, co już było, a prawdopodobnie odeszło bezpowrotnie, bez zbędnych pożegnań, jakby planowało to od zawsze. Część osób w ciasnym pokoju jeszcze stoi, tylko czeka, by założyć buty, szalik i kurtkę i ulotnić się stąd tak szybko, jak to możliwe. Potem wsiadają do swoich samochodów i prawie będą myśleć o tych dawno przykurzonych zdjęciach, prawie przypomną sobie te wszystkie dni, gdy z uśmiechem biegali po plażach albo ośnieżonych chodnikach i tylko czasem ktoś krzyknął do nich, by zwolnili choć na moment, a jeśli nie chcą to niech przynajmniej spojrzą pod nogi. To było dawno i dziś już nikt nie chce o tym pamiętać, oprócz mnie, bo ja przecież nie mam nic innego do roboty. Tak myślą, a ja gdzieś tam pod maską złości zgadzam się z nimi wszystkimi, niech ich diabli. Przecież całe moje życie to jest jedno wielkie pamiętanie, o rachunkach, spacerach z psem, o wszystkich historiach ojca. Wszystkie historie ojca, niech płoną, niech znikną i już nie wracają. Niech ziemia pochłonie jego dom, te wszystkie koszule, garnitury i te słowa charczane w ostatnich dniach, niech umrą razem z nim. Ojciec nie żyje, uświadamiam to sobie i wstaję z kanapy, pokój cichnie, przyspieszają tylko ich myśli ku drzwiom i samochodom. Ojciec nie żyje.

-Wyjdźcie stąd - mówię cicho, od dawna na więcej mnie nie stać - Proszę. - Patrzą wszyscy na mnie, jakby pierwszy raz cokolwiek usłyszeli i nie wiedzą, czy odpowiadać, czy robić cokolwiek, więc gapią się na mnie żałośnie udając zaskoczonych, całkiem dobrze im to wychodzi, jak zawsze.

-Marek, dla nas też to jest trudne. Zrozum... - Beata, moja siostra, głupia, nie wie, jak to było, jak to jest, nikt nie wie. -Do cholery, wyjdźcie stąd! - krzyczę, dawno tego nie robiłem - Zawsze mieliście głęboko w nosie to, co się tu dzieje. Jedenaście lat podmywania ojcu tyłka, znoszenia wózka po schodach, gotowania zupek. Nie wiecie, jak to jest słuchać dzień w dzień tych samych słów, tego samego imienia. Nie wiecie, nawet nie próbowaliście się dowiedzieć. Marek to trudne, dobre sobie. Zabierajcie się stąd, nie mogę na was patrzeć. - odwróciłem się do okna, padał deszcz. I dobrze, niech mokną. Słyszać tylko kroki w korytarzu, będą ubierać buty, nawet nie spojrzą na pokój ojca. Zamknęli drzwi, schodzą, dźwięk centralnego zamka, wiedzą, że patrzę, odjechali. Bracia i siostró, niech was diabli.

Nie wiem teraz, co ze sobą zrobić, nikt nie wie, patrzy na mnie tylko smutno z obrazu, Matka Boska Częstochowska. Też mi nic nie powie, bo ja i tak wiem swoje, stare powiedzonko ojca, którego nikt już nie usłyszy. Muszę wyjść, zabieram więc płaszcz i smycz z kluczami, prawie wychodzę, spoglądam w prawo, za późno. Pokój moich rodziców woła mnie ponownie i tym razem nie chodzi o podanie leków, chociaż może chodzi, już nie wiem. Chwytam za zimną klamkę, jestem. Mechanicznie wyjmuję spod łóżka pudełko po butach. Patrzą teraz na mnie wszystkie czarno-białe fotografie. Śmieje się Jan Pszczoła, mój ojciec, może zerka na mnie teraz, bo wcale nie umarł, tylko schował się w szafie, pośród palt i kurtek i czeka, aż go wypuszczę. Może moja matka siedzi tam razem z nim, może zawsze tam była, odkąd tylko ostatni raz wyszła z mieszkania, szesnastego kwietnia jedenaście lat wstecz. Stoją tam teraz we dwójkę i chichoczą tak jak kiedyś. Odkładam karton i szarpnię ciężkimi drzwiami. Pusto, tylko czapki i kapelusze złączają się, bo ktoś zbudził je ze zbyt długiego snu. Może poszli na spacer, wrócili do pamięci i na zdjęcia. Za długo to trwa, biorę pudełko i wychodzę. Białe ściany krótkiego korytarza zdają się w końcu na mnie nie patrzeć. Biorę starą popielnicę i drę twarze, po kolei zdjęcie po zdjęciu. Nikt już nie zobaczy wesela Jana i Ewy Pszczołów, narodzin ich najstarszego syna, pierwszej komunii Beaty, zresztą, kiedy nie ma ojca, to i tak już nikogo to nie interesuje. Ja już dość słyszałem i pamiętałem. Patrzą teraz na siebie sprzed trzydziestu lat, jechałem akurat na rowerze, pewnie u dziadków w C. . Trudno, mówię młodemu Markowi Pszczole, uczniowi klasy piątej szkoły podstawowej i ładuje blondwłosy

chłopak w popielniczce, podarty na kawałki. Podpalam skrawki papieru. Gryzący dym dostaje się do moich nozdrzy, kaszlę. Wyrzucam popiół i opłukuję popielnicę. Myślę sobie absurdalnie, że mógłbym teraz jak Gustaw wyskrobać na ohydnej, żółtej ścianie salonu wyskrobać, że teraz umarł Jan, ale narodził się Marek. Skłamałbym jednak, a mój ojciec zawsze powtarzał, że kłamstwo ma krótkie nogi, nie wytrzymałbym długo. Myślę teraz, że i Marek umarł, w chłodnym pokoju, przy łóżku, dwudziestego piątego lutego 2009 roku. Nikt właściwie nie wie na co i dlaczego, wiem tylko ja i płaczę na tę myśl. Siadam skulony przed kanapą i szlocha ze mną Matka Boska Częstochowska, szlocha, choć i tak mi nic nie powie. Słone łzy spadają na turecki dywan, wsiąkają w niego i już ich nie ma. W tym mieszkaniu już nic nie ma, jest tylko cichy śmiech dochodzący ze starej szafy, ale na razie nikt go nie słyszy.

M.